Nr. 2. 10. Stycznia 1872. Tom V.

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wybór i koronacya króla Władysława Zygmunta.

Wiadomo wam zapewne, że dawniej w polskich krajach nie było stojącego wojska, a rekrutów nigdy nie brano. Zdarzało się jednak często, że niezgodni nasi sąsiedzi — z jednej strony Moskale, a z drugiej Niemcy, wpadali do kraju i pustoszyli po swojemu. — Trudna rada, trzeba się było koniecznie bronić, bo nareszcie toby i ostatnią koszulę ściągnęli z człowieka. Otóż takie było prawo, że kiedy nieprzyjaciel wypowiedział wojnę i w padł do kraju, król z Warszawy wydawał rozkaz, aby każdy szlachcic polski brał za broń i szedł bić wrogów ojczyzny. — Czy bogaty, czy biedny, stary, czy młody, musiał słuchać rozkazu królewskiego i iść na wojnę. — Włościanie całkiem byli wolni od wojska. Służba wojenna ciężkim była obowiązkiem, bo nieraz trzeba było porzucić żonę i dzieci, i iść pod rozkazy hetmana, a do tego jeszcze własnym kosztem uzbroić się i utrzymywać. — W nagrodę za te trudy miała szlachta polska liczne prawa i przywileje. — Sama rozsądzała swoje sprawy, wybierała urzędników i posłów na sejm, a co najważniejsze, każdy miał prawo wybierać króla. — W Polsce nie szło królestwo z ojca na syna, tylko zawsze

po śmierci króla zbierała się szlachta i wybierała nowego — tak jak dziś gminy wybierają wójtów, a miasta burmistrzów. — Od chwili śmierci jednego króla aż do wyboru nowego, minął nieraz spory szmat czasu, czasem rok albo i więcej. Czas ten nazywał się bezkrólewiem. Arcybiskup gnieźnieński i senatorowie, najwyżsi urzędnicy w państwie, rządzili wtedy królestwem i pilnowali, aby panował ład i spokój i mocny nie krzywdził słabego.

W dzień śmierci króla Zygmunta zjechał do Warszawy prymas Wężyk, arcybiskup gnieźnieński. Nazywał się z łacińskiego prymas, to znaczy: pierwszy. I w samej rzeczy po królu był pierwszym w całem państwie polskiem. Po zgonie króla objął zaraz rządy, a kiedy się naradził z senatorami, naznaczył pierwszy sejm na dzień 22. czerwca 1632 roku. Pierwszy sejm po śmierci króla odprawiany, nazywał się konwokacyjny — na tym sejmie naznaczano czas do wyboru nowego króla. Dnia 22. czerwca pozjeżdżali się z całego królestwa posłowie i senatorowie i załatwili różne sprawy i naznaczyli wybór króla dopiero za trzy miesiące, na dzień 27 września. —

Dwieście lat temu, w czasie, kiedy się to działo, nie było jeszcze nigdzie ani kolei, ani telegrafów, co to w jednej chwili roznoszą wiadomości po całym świecie. Zanim z Warszawy doszła jaka wiadomość na granicę królestwa — minęło czasem kilka tygodni, a nieraz i miesiąc. Trzeba więc było zostawić dużo czasu, aby każdy dowiedział się o śmierci króla Zygmunta i mógł choćby z najdalszych okolic nadjechać pod Warszawę na wybór nowego króla. Kiedy się już zbliżał czas obioru, czyli jak dawniej mówiono elekcyi, ze wszystkich stron królestwa ściągała się szlachta pod Warszawę. Bogaci panowie, senatorowie, wojewodowie i kasztelani jechali w złoconych, kosztownych karetach — koło powozu jechali zbrojni kozacy. Z tyłu ciągnął się cały szereg wozów z kuchnią, służbą i zapasami różnego rodzaju. Im większy pan, tem więcej wiódł żołnierzy, czy to kozaków, czy też husarzy, okrytych żelaznemi blachami, z szerokiemi mieczami przy boku. Gdzie niektórzy mieli nawet swoje armaty — i prowadzili po kilka tysięcy zbrojnych, jakby na jaką wojnę.

Biedniejsza szlachta jechała konno: gdzie niektóry wiózł ze sobą jednego lub dwóch luzaków do swej posługi. Byli wreszcie i tacy, co na piechotę ciągnęli pod Warszawę na plac wyborów. — Po lewej stronie Wisły, między wsią Powązki a Wolą, ciągnie się długie, szerokie, a równe pole. Tam odbywały się wybory królów. — Dnia 27. września warto tam było być, aby się wszystkiemu przypatrzyć. Całe pole nabite było ludźmi, a każdy wystrojony jakby na wielkie święto do kościoła. Jedni dawnym zwyczajem w bogatych kontuszach i jedwabnych żupanach, w wysokich czapkach z drogiego futra, a przy boku długi pałasz, drudzy na francuzką modę w trzewikach, jedwabnych pończochach do kolan, w obcisłych spodniach i jedwabnych, albo aksamitnych surdutach i cienką szpadą przy boku, podobną do rożna. Innej broni, jak naprzykład strzelb, albo pistoletów, nie wolno było przynosić na wybory. Także i wojska wszystkie, które panowie polscy i litewscy przyprowadzili ze sobą, musiały zostać na trzy mile od pola wyborczego. Prawo takie, dlatego było postanowione, aby nikt podczas wyborów nie mógł robić gwałtów i nie przerywał narad. W środku pola była szopa na słupach drewnianych. Przed tę szopę raz wraz zajeżdżały powozy świecące i złociste, ciągnione czwórką lub szóstką pięknych koni, a z nich wysiadywali bogato przystrojeni panowie: wojewodowie, kasztelani, arcybiskupi i biskupi, i szli do szopy na radę. Szopa ta nie miała ścian tak, że każdy mógł się przypatrzyć, co się dzieje i jak idą narady — tylko w razie deszczu opinano ją dokoła płótnem. Ozdób też żadnych na niej nie było tak, że raz z tej przyczyny śmieszny zdarzył się wypadek, o którym później opowiem.

Kiedy wszyscy senatorowie i posłowie się pozjeżdżali, zaczęli radzić, w jakim porządku mają się odbywać wybory. Narady te trwały dzień cały. Nad wieczorem rozchodzili się panowie i senatorowie, jechali na noc do bliskiej Warszawy, do swych pałaców; biedniejsi mieścili się, jak kto mógł, w gospodach albo w klasztorach. Największa część została na polu, porozbijała namioty, by się chronić od słoty, i tam nocowała. Nawet wielu bogatych panów koszowało w polu,

bo nie mogli miejsca znaleść w Warszawie dla wielkiego natłoku. Na drugi dzień rano, jeszcze dobrze się nie rozwidniło, aż tu kilku ze szlachciców, co opodal rozbili swoje namioty, ujrzeli, że w szopie, w której wczoraj odbywały się narady, pali się jakiś ogień. — Biegną tedy czemprędzej i widzą, że jakiś kucharczyk rozłożył sobie tam ogień i zabiera się do gotowania śniadania.

— A cóż ty tu robisz? woła jeden z nich.

— Toć Waszmościowie przecież widzą co robię— odpowiada kucharz — gotuję śniadanie dla pana Potockiego, wojewody bracławskiego.

Dopiero tedy ci co nadbiegli dalejże, z góry na niego: a ty taki, owaki, to ty będziesz tu sobie kuchnię zakładał, gdzie ma radzić sejm i senat — ruszaj stąd czemprędzej.

Kucharz w wielkim strachu zaczyna się prosić.

— Darujcie panowie, darujcie, nasz pan wojewoda kazał na tem polu taką samą szopę postawić, a że jeszcze trochę ciemno, to zabłądziłem i tutaj zaszedłem.

Szlachta się zaczęła śmiać, puściła zastraszonego kucharzynę i kazała mu zgasić ogień i pozabierać naczynia. W chwili wszystko uprzątnął i wynosił się czem prędzej ze swemi garkami, rad w duszy, że na strachu się skończyło. C. d. n.

Pogadanki.

— Zauważyłem, że w całej tej księdze nigdzie Marcin nie mówi o sobie: *ja*, jeno tak, jak gdyby to nie on sam był, tylko kto inny, i pisze o sobie zawsze Marcin, albo też Królewiak. Opowiada i o zdarzeniach, jakie w wiosce zaszły, i o dawnych czasach, i o tem, co się właśnie w chwili rozmowy działo — słowem o wszystkiem, co widział i czego zię wyuczył, ale zawsze ma na myśli, aby nauczyć czegoś pożytecznego i dobrego swoich sąsiadów. Rozmowa toczy się raz u niego samego, to znów na jarmarku przy piwie, to u jakiegoś z sąsiadów, a nawet czasem i u księdza proboszcza, albo wreszcie u nauczyciela. My też podajemy wam co najważniej-

sze opowieści w takim porządku, w jakim zapisane są w owej książce.

I.

— Były imieniny u Marcina. Gospodarz zaprowadził zwyczaj obchodzenia imienin na Podwalu — tak się nazywała owa wioska, w której Marcin mieszka, — ale odkładał je zawsze na niedzielę, aby czasu daremnie nie tracić. Sąsiedzi zeszli się licznie i gwarzyli głośno, jak zwyczajnie: o biedzie, wielkich podatkach, drożyźnie i braku pieniędzy; sąsiadki opowiadały sobie bajeczki najnowsze, a dziewczęta chichotały w ostatnim rogu długiego stołu i spoglądały ukradkiem na dorodnych chłopaków, przyszłych gospodarzy i kmieci, usadowionych na przeciwnej stronie stołu, ale także na końcu, bo u Marcina pierwszeństwo szło podług wieku, gdyż jak mawiał: kto starszych nie szanuje i sam się starości nie godzien doczekać. Marcin z początku zajęty przyjmowaniem gości, nie mięszał się do rozmowy. Dopiero gdy się już nikogo więcej nie spodziewał, usiadł przy stole. Wypili wszyscy jego zdrowie szklaneczką miodu, bo wódki i do ust nigdy nie wziął, i dalej rozmawiali. Wreszcie Wojciech Biernat, co to w całej wiosce za wielkiego mędrca i dobrego gospodarza uchodził, odezwał się w te słowa:

— Dziwno nam Marcinie, że tak często opowiadać lubicie o starych dziejach. Co było, to było, a jeśli tego teraz nie ma, to i nie warto o tem mówić.

— Słusznie mówicie Wojciechu — odezwał się Kasper Kamizela — ot lepiej pomyśleć nad tem, jakby tu teraz biedzie zaradzić; jakby to podatku umniejszyć, i na te tam szkoły i inne nauki nic nie dawać.

— Chwała Bogu, że ja nie sam taki jestem, — powiada Walenty Hamulec, — i ja dawno już rozmyślałem nad tem: co nam z tego przyjdzie, że tam będziemy wiedzieć, jak to dawniej było, co nasi przodkowie robili, albo co się tam działo, lub dzieje w innej wiosce, co to tak samo mówi, jak my. Choćby ich tam i do naga obdzierali, byle tylko nam dobrze się powodziło, to zresztą wszystko niczem.

— Powoli, powoli, — mówi Marcin — za wiele się od razu pytacie, i za wiele chcecie naraz wiedzieć.

Wszyscy ucichli, jakby makiem posiał, bo wiedzieli, że Marcin lubi opowiadać o starych dziejach i wyszukuje często rozmaite dawne historye, a nie mogli zrozumieć, dlaczego to robi. Marcin zaś po chwili powiada:

— Czy też kochacie moi mili sąsiedzi waszych rodziców?

— Oj, Oj! — odzywają się prawie wszyscy — jakżeby też można posądzać nas o niewdzięczność?

— A waszych dziadków i pradziadków?

— Toć my przecież nie poganie i Turki, Marcinie! abyśmy ich nie mieli kochać i szanować. Człek nie żałuje i modlitwy i grosza na wypominki i mszę świętą, aby im tylko dopomódz na drugim świecie, a tu na ziemi tylko wyrodki mogliby nie szanować rodziców. A zresztą — powiada Hamulec — jak my kochamy naszych rodziców, tak nas kochać będą nasze dzieci.

— Słusznie i sprawiedliwie mówicie wszyscy — rzekł Marcin — ale jakoś nie bardzo zastanowiliście się nad tem, co powiadacie. Bo i cóż to są stare dzieje? Toć nic innego, jeno historya o naszych dziadach, pradziadach, i prapradziadach. Co oni robili, jak żyli, jak nas bronili od nieprzyjaciół, a nawet ich błędy i winy: wszystko to w starych dziejach zapisane. Jeśli zatem rozpamiętujemy stare dzieje, to przez to czcimy tylko naszych rodziców; jeśli czytamy lub słuchamy o ich cnocie, pobożności i waleczności na wojnie — toć i w nas serce żywiej uderzy i my czujemy ochotę, aby się stać podobnymi do nich, bo nie chcemy być odrodnymi synami, — a kiedy nawet o ich błędach słyszymy, to wtenczas mamy naukę, abyśmy podobnych błędów sami nie popełniali. Bo błąd każdy, wina każda, karę za sobą pociąga, więc i my, jeśli to na przykładach naszych ojców i dziadów widzimy, staramy się takowych wystrzegać — stajemy się przez to lepszymi, cnotliwszymi.

Któż nie kocha zresztą swoich dzieci? Toć każdy radby im i nieba przychylił, każdy radby się zapewnić, że w całem życiu będą szczęśliwe. Ale, jak to już powiedziałem, błędy

i winy sprowadzają karę, — a kara ta spada częstokroć dopiero na synów i wnuków; jakżeż więc mamy nasze dzieci zabezpieczyć od nieszczęść i kar, jeśliśmy się z starych dziejów nie nauczyli, co to są za błędy, i jak ich można uniknąć. Częstokroć już na nas samych kara spada za nasze własne błędy, a my dziwimy się i oskarżamy Boga. Gdybyśmy byli wiedzieli, jak postępowali nasi przodkowie, bylibyśmy złemu umieli zaradzić. Pamiętacie sami, jak to niedawno perswadowałem Ostrowianom, aby gruntów po nieboszczykach ś. p. Chałupie i Baranie nie sprzedawali Niemcom, bo to obcy pozybysze, chciwi na grosz i o naszych nie dbają. Gdzietam!... jak się uwzięli, tak sobie ani powiedzić słówkiem nie dali, że źle robią. I oto teraz połowa gruntów Ostrowskich należy do Niemców, a zamożni niegdyś gospodarze poszli z torbami, lub proszą się u przybyszów za parobków. I zkądżeż to można było przewidzieć, że źle robią Ostrowianie? Gdybyście czytali stare dzieje, wiedzielibyście, że u Niemców, dawniej jak u nas byt dobry i przemyślność i nauki zapanowały, że oni zatem przebieglejsi, chytrzy i zawsze naszego w pole chcą wyprowadzić, bo im ani bratem, ani swatem.

— Co prawda, to prawda — odezwał się Wojciech Biernat — myśmy wszyscy myśleli, że Ostrowianie dobry zrobili interes, bo to Niemczyska grubo im zapłacili. Któżby się był tego mógł spodziewać, że to takie nieszczęście na wieś sprowadzi?

— Albo i ten nasz Skałuba stary. Jak zaczął mędrować i mędrować, jak zaczął prawić, że córki nie wyda za prostego chłopa, tak sprowadził nareszcie zkądś Niemca, a podobno nawet z Ostrowa i ożenił go. Ma też teraz za swoje: wygnał go zięć z chałupy, i starowina włóczy się teraz po świecie, o żebranym chlebie, a choćby się może czasem przed zięciem chciał poskarżyć i upomnieć go, to ten go nie rozumie i wypycha za drzwi.

— Mnie się zaś wydaje, — odezwie się Kasper Kamizela — że to tylko tak w Ostrowie się stało, i że tam wszyscy Niemcy nie są tak bardzo na naszych zajadli. A zresztą co

się tam w jednym Ostrowie stało, to się wszędzie nie uda — toć przecież Ostrów, nie kraj cały, ani świat.

— Co się w Ostrowie stało, to się stało w Ostrowie, a nie u nas — wyrwał się Walenty Hamulec. Niech tam Ostrowianie robią co chcą, byle tylko nam się dobrze wiodło — to i koniec na tem.

Wpatrzyli się wszyscy na Walentego zdziwieni, i znać było, że się po cichu śmieją z nieboraka. Walek po tej mowie obejrzał się w około, — zczerwienił się jak burak — wydało mu się bowiem, że głupstwo powiedział — i cichutko poprawia ogień w fajeczce i kuli się za plecy Biernatowe ze wstydu. (C. d. n.)

Zawiślak.

Powiastka z czasów stanu oblężenia w roku 1864.

(Ciąg dalszy).

— Co to jest? — co to jest! gwałt! rozbój! rabuśniki! krzyczał żyd skurczony we dwoje na wozie i przysuwał się pomału do swojego furmana Bartka Czapeli, gospodarza z pobliskiej wioski.

— My tu nie rabuśniki żydzie — my tu stoimy z rozkazu. Stój! pokaż pas! — odezwie się Podrywka — bo kiedy zobaczył, że to z żydem sprawa, nabrał odwagi i z gęstą miną zbliżył się do wozu.

— Ny, ja mam pas — ja człek spokojny — ja nic nie winien — ny ja mam pas z becyrku — jadę do Radłowa na jarmark.

— Zaraz zobaczymy — odezwał się zuch Podrywka, — zobaczymy! Pokażno to pismo, — my tu czytać umiemy, — kto wie, czy masz pozwolenie do Radłowa?

— Jak to do Radłowa? — ja mam pozwolenie do całej Galicyi, ja z tem pismem mogę jechać i do Lwowa.

— Co nas tam obchodzi Galicya, albo i Lwów — my tu chcemy wiedzieć, czy masz pozwolenie do Radłowa?

— Kiedy ma pozwolenie do Lwowa — zagadnął nieśmiało furman Bartek — toć może jechać i do Radłowa, bo to przecież w tym samym kraju.

— Jaki mądry? — odpowiada Podrywka — on nas będzie uczył!.... a pewnie dostał od żyda dużo pieniędzy i teraz go broni. Kto wie, co on tu wiezie?... może to nie żyd, tylko przebrany powstaniec — o! my! co to czytać umiemy, nie damy się wywieźć w pole. Hej chłopcy! przetrząśnijcie no słomę na wozie, może tam są harmaty na spodzie.

Żyd biedaczysko wyjął paszport z kieszeni i trzymał w ręku, zlazł z wozu wraz z furmanem i stanął na gościeńcu. Podrywka nagle wydarł mu pismo, założył poważnie na nos okulary, i zapalił siarnika, i niby to począł czytać. Mruczał przytem coś niezrozumiale pod nosem, zapalał coraz to nowe siarniki, obracał papier na wszystkie strony, obmacywał go, jakby się chciał przekonać, czy dość gruby, i czy jakie czary nie są w środku zalepione, kiwał znacząco głową i przewracał oczyma. Prawdę mówiąc, uczył on się w młodości u organisty czytać na książce do modlenia — ale od owego czasu wszystko mu z głowy wywietrzało i tylko udawał, że coś umie, a nawet książkę do kościoła nosił. Choć ciemny jest jak tabaka w rogu, udawał mądrego, i powiada:

— O, my się tu znamy na takich figlach! ten pas fałszywy — trzeba tedy będzie przez noc w śpichlerzu się przespać.

Z początku głośno żyd wyrzekał, nie chciał nawet wierzyć, że Podrywka naprawdę chce go aresztować, był bowiem pewny swego; przedstawiał i powiadał, że to gwałt, napad, że wartowników oskarży, że będą surowo ukarani. Ale wszystkie przedstawienia i mowy nie pomagały. Podrywka uparł się przy swojem. Żyd począł prosić, błagać, zaklinać się, przysięgać, obiecywał pieniądze na wódkę — wszystko nadaremie. Kasper zaślepiony nienawiścią i ciemnotą, a przytem chciwy grosza, był pewny, że złapał powstańca. Słyszał on, że czasem paszporty są fałszywe, zdawało mu się więc, że i ten musi być koniecznie fałszywy; słyszał, że się czasem ludzie przebierają, a więc i żyd musiał być przebrany i udawał tylko. Chodziło mu zaś przedewszystkiem o to, aby dokuczyć Zawiślakowi,

aby dostać pochwałę z urzędu — więc też nie wiele pytał o to, co nastąpi. Wiedział, że wójt wyjechał do Tarnowa i dotąd nie wrócił, więc teraz w jego ręku, jako podwojciego, najwyższa w gromadzie zostawala władza.

— Kiedy nie pomoże prośba, to pomoże groźba, pomyślał furman Bartek Czapela — i dalej że się kłócić i grozić parobkom. Żyd nabrał odwagi, bo mu się zdawało, że może w ten sposób wymknie się z rąk parobków. Od przezywań i groźby, byłoby przyszło do bójki. Ale Podrywka nie miał ochoty do wojowania, od urodzenia już niezmiernie był bojaźliwy, choć przed ludźmi niezmiernego śmiałka udawał. Pobiegł zatem czemprędzej ku wiosce i począł wołać co siły:

— Gore — pali się — ogień! (C. d. n.)

Nasza wiara.

Wierzymy Panie! o! wierzymy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Żeś nas zapalił jak pochodnię nocną,
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie,
Że nam na niebie już świta zaranie
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, że Ty gwiazdy siejesz
Po naszej drodze, żeś Ty naszym świadkiem,
Że chociaż czasem słabymi zachwiejesz,
Jednak nas wszystkich chronisz przed upadkiem;
Żeś aniołami otoczył otchłanie,
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, żeśmy syny światła,
Że nasze wrogi są dziećmi szatana,
Że on im stoi na czele, i matła
Twą świętą wiarę, co niepokalana,
Z tryumfem skończy z nim swe bojowanie
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, za synowie pychy
Silni są złością, ale słabi w duchu,
Że jak cień żywot ich przeminie lichy,
Że ich tu jeszcze przypniesz na łańcuchu,
Że ich płacz czeka i zębów zgrzytanie
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, że w czas niedaleki
Kraj nasz o morza oprze swoje końce.
A wszystkie ludy przez wieki i wieki
Poglądać na nas będą jak na słońce,
Że Ty nad nami weźmiesz królowanie,
Wierzymy Panie!

Kornel Ujejski

Drętwa.

Pisarze Dzwonka nie raz wam już opowiadali o elektryce, o tem jak to pioruny i błyskawice powstają, o owych drutach telegraficznych, przywiązanych do słupów przy gościeńcach i kolejach, co to w jednej chwili przenoszą myśl ludzką na sta i tysiące mil. Wiecie już zapewne, że kiedy do ciała naelektryzowanego przytkniemy palec, to wyskakuje iskra czasem tak silna, że i najtęższego wołu zabić może. Słyszeliście, że taka elektryczność powstaje przez tarcie szkła lub bursztynu, przez zetknięcie płyt, np. miedzianej i cynkowej.

Najdziwniejszemi jednak są ryby elektryczne, tak zwane drętwy. Żyją one daleko od naszego kraju, w bagnach zwanych Bera i Rastro, w Ameryce południowej. Podobne są do naszych węgorzy, tylko daleko większe, a długie od pięciu do sześciu stóp, czyli do trzech łokci. Z wierzchu żółtawe, śliskie, ciało mają silne, muskularne; w niem to objawia się elektryczność tak silna, że i najtęższego konia za dotknięciem niewidomą ową siłą zabić mogą. A wydobywać mogą tę elektryczność na całem ciele, gdziekolwiek zechcą.



Drętwa.

Częstokroć spokojny rybak siedzi nad brzegiem bagniska i łowi ryby na wędkę. Sznur zamoknięty jest, jak wiadomo, dobrym przewodnikiem elektryczności. Jeżeli w wodzie znajdują się drętwy, wtenczas połów może się stać nader niebezpiecznym. Bowiem którakolwiek z nich, skoro tylko wędkę

spostrzeże, zbliża się, wypuszcza elektryczność. Ta po sznurze, jako dobrym przewodniku, uderza rybaka, i choć go najczęściej nie zabija, pozbawia go jednakowoż na dłuższą chwilę zmysłów i przytomności. Nawet inne ryby nie lubią mieszkać w pobliżu tak niebezpiecznych sąsiadów, i skoro się tylko drętwy w jakiemś jeziorze lub bagnisku w większej ilości pojawią, uciekają ztamtąd czemprędzej.

W Ameryce nie było przedtem koni. Dopiero kiedy ludzie z Europy odkryli tę część świata i zawojowali, i konie też razem z nimi przybyły i rozmnożyły bardzo licznie, i żyją teraz dziko w ogromnych stadach. Mają one tam jednakowo licznych i srogich nieprzyjaciół: polują na nie dzikie drapieżne zwierzęta, jak: jaguar, amerykański lew, puma, i inne; poluje krokodyl, a do bardzo niebezpiecznych nieprzyjaciół należy również i drętwa. Kiedy koń wstępuje w wodę uderza ona w niego niewidzialną siłą elektryczną: Koń parska, jeży grzywę, ucieka, ale po kilku uderzeniach traci przytomność i siły i tonie. Zdarzało się nawet, że ludzie musieli opuścić drogę prowadzącą stepami. W rzeczułce bowiem stepowej nagromadziło się tak wiele drętw, że prawie wszystkie konie, któremi rzeczułkę ową trzeba było przejeżdżać, tonęły, zabite od owych ryb. To też nikt wkrótce tamtędy nie mógł jechać, aby nie utracił swego dobytku, a nawet i życia.

Nader zajmującem i ciekawem jest polowanie na te dziwne stworzenia. Do jeziora albo bagna, w którem się drętwy chowają, spędzają tamtejsi mieszkańcy, Indyanie, muły i konie, i dokoła bagno obstępują. Krzyk i hałas niezwykły draźni drętwy i gniewa. Stawają tedy odważnie do walki. Podobnie wężom uwijają się na wodzie, podstępnie podchodzą koniom pod brzuchy i uderzają je ową ukrytą iskrą elektryczną. Znaczna zwykle liczba koni ginie i tonie, oszołomiona ową tajemniczą siłą. Z najeżoną grzywą, błyszczącymi oczyma, parskają konie, biegną pędem do brzegu, ale Indjanie długiemi tykami z trzciny bambusowej napędzają je na środek jeziora.

Pomału słabnie zaciętość walki. Znużone ryby, podobnie jak chmury po burzy, rozpraszają się na wszystkie strony. Po tak wielkiem wysileniu potrzebują one dłuższego spokoju, wiele pożywienia, aby znów zebrać elektryczność w swojem ciele; takowa bowiem po każdem uderzeniu coraz więcej słabnie. Wystraszone okrzykiem ludzi i uderzeniem kopyt końskich, przybliżają się drętwy do brzegu, a Indyanie przebijają je kończystemi żelazami, harpunami, podobnemi do ości na ryby i wyciągają suchemi tykami na brzeg. Tak się kończy dziwna walka ryb z końmi.

Sól jak dawać bydłu.

Każdy gospodarz wie już dziś, że sól bydłu potrzebna. Bydło, które dostaje sól, staje się zdrowsze i żywsze. — Sól przyczynia się wiele do trawienia i czyści krew. — Krew bydląt dostających sól jest rzadszą i czerwieńszą jak tych, które soli nie jedzą. — Nawet na zewnątrz widać skutki soli: sierść robi się miękka, gładka i połyskująca, oko żywe i wesołe. — W jaki sposób, kiedy i w jakiej ilości dawać należy bydłu sól, zawisło od różnych okoliczności, n. p. od paszy, od pory roku, od wieku zwierząt, i kraju, w którym żyją. — Jeśli bydło dostaje karmę z liści buraków lub rzepy, słomy owsianej, koniczyny albo zwykłego siana łącznego, wtedy wcale bez soli obejść się może. Pasze te bowiem mają już same w sobie dostateczną ilość soli, którą rosnąc wciągnęły w siebie zapomocą korzeni z ziemi. Zato łubin, ziarna strączkowe, jak: groch, bób, wyka, dalej kukurudza, pszenica, ziemiaki, owies, wreszcie słoma pszenna, koniecznie soli potrzebują. Pokarmy te w sobie soli nie zawierają, a do tego jeszcze trudne są do strawienia — potrzebują więc soli, aby się łatwiej w żołądku rozpuściły. Uważać także należy na wodę, którą się bydło poi — czasem woda sama jest już słona, w takim razie wszelkie dalsze dodawanie soli jest już niepotrzebne. W krajach nadmorskich, na przykład w królestwie Holandyi, zkąd pocho-

dzi piękna rasa holenderskiego bydła, nigdy przecież inwentarzowi nie dają soli.

Woda morska jest słoną. Przy pogodzie woda ta paruje, w całym więc powietrzu nadmorskim znajduje się ogromna ilość drobniutkich cząstek soli. Powietrze jest, można powiedzieć, słone. Przez samo oddychanie wciąga już w siebie bydło sól. — Nie dość jednak na tem — z deszczem, z rosą, sól z powietrza pada na rośliny — roślinami temi karmi się bydło — znowu więc dostaje sól. Łatwo więc pojąć, że w takich nadmorskich krajach dalsze dodawanie soli do karmy jest niepotrzebne.

W młodszym wieku, kiedy zwierzę dostaje pokarm silny i pożywny, należy mu też i więcej soli dawać — tak samo i w starości należy pomnożyć porcyę soli, aby trawienie i przyspieszyć i uregulować. Niechęć do jedzenia także najlepiej się usuwa, dodając bydłu soli. — W lecie sól jest potrzebniejszą jak w zimie — robi pragnienie i zmusza bydło do picia wody — wypita woda chłodzi i chroni do różnych chorób. — Nieraz się zdarza, że gospodarz mimo najlepszej chęci musi bydłu dawać lichą strawę i nie wiele. Strawa taka posypana solą, lepiej bydłu smakuje i nie tyle mu szkodzi. Przekonano się naprzykład, że siano zmulone albo spleśniałe, z którego bydło najczęściej się zamotylicza, pomoczone słoną wodą, nie pociąga tych szkodliwych skutków, a inwentarz zjada go nawet dość chętnie. Sól chroni bydło od chorób i robi go wytrzymalszem. Słota zimno, licha pasza, niewygody, nie tyle mu szkodzą, ile bydłu, które nie dostaje soli. — Ile krowa, koń, lub owca na dzień ma dostać soli, nie da się stałą liczbą oznaczyć. Mniej więcej liczą na konia średniego wieku, którego paszą jest siano i owies, dziennie 3 łuty. Bydłu rogatemu dają dziennie łut lub dwa, w niektórych okolicach nawet cztery i więcej. — Owca powinna dostawać codzień $^1/_2$ łuta, a skopy przeznaczone na tuczenie łut; pokazało się bowiem, że wtedy daleko prędzej się tuczą. Świnie także bardzo chętnie pożywają sól — na tuczenie nie robi ona jednak żadnego wpływu. Najlepiej tak urządzić dawanie soli, żeby bydlę jadło, ile potrzebuje. Ma ono swój rozum i pewnie nie przeje się.

Bryły soli kamiennej stawia się w stajni w takich miejscach, aby bydło mogło wygodnie przystąpić i zlizywać tyle, ile potrzebuje. Jest to najlepszy sposób, lepszy od posypywania solą paszy, lub pojenie bydła słoną wodą. Soli mniej wychodzi i jest pewność, że bydło się nie obje za nadto. — I o tem bowiem trzeba pamiętać, że dostateczna ilość soli bydłu służy, — tak znowu przeciwnie za wiele, działa szkodliwie, sprowadza rozwolnienie i osłabia bydlę. Ci gospodarze, co mieszkają w zachodniej części naszego kraju, koło Wieliczki, gdzie kopią sól kamienną, mogą tej soli łatwo dostać. Nie tak łatwo o taką sól we wschodnicj części kraju — trzeba sobie więc inaczej radzić. Najlepiej kupować tak zwane omoki solne. Jest to sól w mniejszych i większych kawałach — prawie tak twarda i zbita jak sól kamienna. Omoki także kładzie się w stajni, a bydło pomało je zlizuje. — Gdzie i tych omoków dostać nie można — tam trzeba zwykłą solą od czasu do czasu posypywać paszę bydłu. Dwa razy na tydzień jest całkiem dostatecznie. Niektórzy gospodarze tak robią, że wodę, w której solono mięso lub wieprzowinę, dają bydłu do wypicia. Nie radzę nikomu robić tego. W wodzie takiej znajduje się bardzo wiele drobnych cząstek tłustości, które się spłukały z mięsa. Tłustość ta bardzo jest bydłu szkodliwą, i zawsze prawie sprawia rozwolnienie. Młode cielęta, napiwszy się za dużo takiej solanki, czasem nawet zdychają. — Zamiast oszczędzić na soli, można tym sposobem łatwo stratę ponieść.

Paweł z pod Rudek.

Rozmaitości.

* W Grudziądzu przybył do składu narzędzi jakiś porządnie ubrany mężczyzna i zażądał nożyczek. Ponieważ żadne nie przypadły mu do smaku, przeto właściciel pokazał mu rysunki, ażeby podług tych wybrał sobie nożyczki, jakich szuka. Nieznajomy kazał sobie zrobić parę nożyczek podług najdelikatniejszego wzoru. Po kilku dniach przyszedł je odebrać. Zaciekawiony właściciel zapytał go, do czego używa tak delikatnych nożyczek. Zapytany odpowiedział z uśmiechem, że mu tylko na ucho może powiedzieć, i objąwszy go, jedną ręką, szepnął: „Do najdelikatniejszych kradzieży!“ Poczem szybko skład opuścił. Właściciel odurzony stał przez chwilę, aż mimowoli sięgnął do kieszeni, aby zobaczyć, która godzina—i o zgrozo! przekonał się, że jego odbiorca mówił prawdę, gdyż przeciął łańcuszek od zegarka, a zegarek uniósł ze sobą.

LUTY ma dni 29.

Dni	święta rzymskie	święta ruskie
1 Czwart.	Ignacego Biskupa Męcz.	20 Jeuftymyia Wełyk.
2 Piątek	**Oczyszczenie NMP.**	21 Maksyma Prepod.
3 Sobota	Błażeja Biskupa Męcz.	22 Timoftea Apost.
4 Niedziel.	**5 Mięsopustna** Weron.	23 **N. 3 po Bohola** Kły.
5 Poniedz.	Agaty Panny Męcz.	24 Xenyi Prepod.
6 Wtorek	Doroty Panny Męcz.	25 Hryhorya Bohosł.
7 Środa	Romualda Opata	26 Xenofonta Prepod.
8 Czwart.	Jana de Matha i Maryny P.	27 Joanna Złatoust.
9 Piątek	Apolonii Panny Męcz.	28 Jefrema Prepod.
10 Sobota	Scholastyki Panny	29 Ihnatia Jepisk. Mucz.
11 Niedziel.	**Zapustna** Hipol. i Eufro	30 **N. 4 po Boh. Trie.**
12 Poniedz.	Modesta Męcz.	31 Kyra y Joan Mucz.
13 Wtorek	Juliana Męcz.	1 *Luty* Tryfona Muc.
14 Środa	*Popielec* Walent. Kapł. M.	2 **Strytenyie Hosp.**
15 Czwart.	Faustyny i Jowity MM.	3 Symeona Bohopr.
16 Piątek	Julianny Panny Męcz.	4 Isydora Prepod.
17 Sobota	Sabina Biskupa	5 Ahaftyi Mucz.
18 Niedziel.	**1 Wstępna** Konstanc. P.	6 **N. 5 po Boh.** Wukoła
19 Poniedz.	Konrada Wyznawcy	7 Parftenya Prepod.
20 Wtorek	Leona Papieża	8 Fteodora Mucz.
21 Środa	*Suchedni* Eleonory Panny	9 Nykyfora Mucz.
22 Czwart.	Kated. S. P. w Antio i Pas.	10 Charałampya Mucz.
23 Piątek	*Suchedni* Florentego Wyz.	11 Własya Jepisk.
24 Sobota	*Suchedni* Eberharda Wyz.	12 Mełetya Archiepisk.
25 Niedziel.	**2 Sucha** Macieja Apost.	13 **N. 6 po Boh.** Marty.
26 Poniedz.	Wiktoryn. i Wiktor. MM.	14 Auxentia Prepod.
27 Wtorek	Aleksandra Biskupa	15 Onysyma Apost.
28 Środa	Anastazyi Panny	16 Pamfyła Mucz.
29 Czwart.	Romana Opata	17 Fteodora Mucz.

Zmiany księżyca.

Ostatnia kwadra d. 2 o g. 11 m. 0 rano. Nów d. 9. o g. 2 min. 37 rano. Pierwsza kwadra d. 16 o g. 7 m. 9 rano. Pełnia d. 24 o g. 11. m. 41 przed południem.

Od redakcyi.

Dla wygody naszych czytelników podawać będziemy każdego 20go spis uroczystości i świętych na miesiąc przyszły. Również podamy w jednem z przyszłych numerów czas odchodzenia i przybycia pociągów kolejowych.

Dawnym czytelnikom rozsyłamy jeszcze numer drugi z roku 1872. Jeśli sobie nie życzą prenumerować nadal Dzwonka, zechcą nam numer ten zwrócić. Tym, którzy dotąd przedpłaty na rok 1872 nie złożyli dalszych numerów rozsyłać nie będziemy.

Redaktor odpowiedz. i wydaw. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.“